

CZEŚĆ PIERWSZA

Niebo naszym dachem

1

Nigdy nie miałem łatwego życia. Nie urodziłem się w czepku i nikt mnie nie rozpieszczał. Miałem jednak pogodne usposobienie i traktowałem tę moją drogę życiową jak tor przeszkód.

Pozwólcie więc, że się przedstawię: nazywam się Maciej Łańko, urodziłem się w Jerzmanowie, a teraz mam lat piętnaście i jestem dopiero na początku tego toru. Wziąłem dopiero najłatwiejsze przeszkody. Zobaczmy, co będzie dalej. Może los się kiedyś do mnie uśmiechnie, jak w tych amerykańskich powieściach, w których czyścibut staje się nagle milionerem. Milionerem u nas i tak nie można zostać, i w ogóle co to za przyjemność zastanawiać się stale, na co wydać forszę. Grunt to porządnie żyć i dojść do jakiegoś celu.

Przeczytałem ostatnio fantastyczną książkę – *Moje góry* Bonatiego. Wspaniały człowiek. Nie uznawał żadnych trudności i nic go nie przerażało. To jeden z największych alpinistów. Samotnie zdobywał najtrudniejsze ściany alpejskie i zawsze wychodził zwycięsko. Wyobrażacie sobie człowieka, który samotnie zdobywa północną ścianę Eigeru? Wspina się sześć dni i sześć nocy, zdaje mu się, że już nigdy nie zwycięży tej piekielnej ściany, a jednak... Tak może być i w życiu. Trzeba tylko zacisnąć zęby i przewyciężyć samego siebie. Fantastyczna książka! Chociaż nigdy jeszcze nie byłem w górach, a ściany skalne widziałem tylko na fotografii, to jednak zrozumiałem, o co mu chodzi. I to mnie bardzo pokrzepiło.

Może właśnie dzięki tej książce siedziałem teraz w pociągu i waliłem prosto do Ełku, żeby odnaleźć swego ojca. A sprawa nie była prosta. Mój ojciec opuścił naszą rodzinę, kiedy miałem trzy lata. Wsiąkł, rozplynął się i od tego czasu ślad po nim zaginął. Rok po tym umarła moja matka. Wychowywała mnie ciot-

ka Frania, robotnica z fabryki sklejek w Jerzmanowie. Była surowa i wymagająca. Nie miałem u niej aksamitnego życia. Twardą miała rękę, ale nie czuję do niej żalu. I świeć, Panie, nad jej duszą, bo zginęła przed kilku miesiącami podczas pożaru lakierni. Zostałem więc pod opieką pana Sielickiego i pani Telichowskiej, koleżanki mojej ciotki.

W ten sposób znalazłem się w internacie szkoły zawodowej przy Zakładach Przemysłu Drzewnego w Jerzmanowie. Powiedzieli mi, że będę podtrzymywał tradycje rodzinne, że niby moja matka tutaj pracowała, moja ciotka usmażyła się w lakierni, to ja też mam tkwić w tej cuchnącej dziurze i podtrzymywać tradycje. Dziękuję. Sam zapach wiórów i kleju doprowadza mnie do mdłości. Ale co miałem robić? Wpakowali mnie do tego internatu i gniłbym tam zapewne do końca szkoły, gdyby nie pewne zdarzenie.

A było to już po zakończeniu roku szkolnego. Moi koledzy wyjechali na pierwszy turnus kolonii letnich, a ja zostałem w internacie i codziennie przekładałem na placu sterty desek. Zarobiłem przynajmniej na bilet kolejowy i coś mi jeszcze w kieszeni zostało, ale myślałem, że od tego układania desek dostanę – nie daj Boże – kręćka albo padaczki.

I nagle wszystko się zmieniło jak w filmie, daję słowo. Przyszedłem kiedyś wieczorem do świetlicy na coca-colę. Usiedliśmy z kolegami przy stoliku, a w telewizji szedł reportaż z budowy kombinatu mięsnego w Ełku. Nic ciekawego. Nawet nie patrzyłem na ekran. Obok siedzieli robotnicy. Popijali piwo. I nagle coś mną szarpnęło. Kosiak, którego znałem z placu, powiedział nagle do Bośkiewiczca:

– Ty, Wacek, poznajesz tego... To przecież Waldek Łańko.

Szarpnęło mną jeszcze mocniej. Zerknąłem na ekran. Spocony i zdyszany reporter przeprowadzał wywiad z brygadą montażową. Nad ich głowami przesuwiała się wolno suwnica i spawacze sypali ze spawalnic sнопami iskier. I było zupełnie tak jak w telewizji. Brygadzista drapał się za uchem. Mówił, że mają pewne trudno-

ści, ale wszystko idzie klawo i hałę oddadzą przed terminem, a reporter co chwila zwracał się do widzów i chwalił całą brygadę za solidną pracę. I wtedy Bośkiewicz, robotnik z narzędziowni, trącił łokciem Kosiaka:

– Niech mnie kule biją, to Waldek!

Obaj spojrzeli na mnie, a mnie się nagle zrobiło gorąco i potem przeszył mnie dziwny ból w okolicy serca. Zobaczyłem wśród robotników na ekranie swego ojca. Wprawdzie nigdy go nie widziałem, ale u ciotki wisiała fotografia ślubna moich rodziców. Ten człowiek stojący nieco z boku, trzymający w kącikach warg papierosa, to był mój ojciec. Po chwili byłem już pewny. Nastąpiło bowiem zbliżenie i w powiększeniu zobaczyłem jego twarz. Ten sam owal, wyraźne łuki brwi, osadzone oczy i dziwnie przekorny uśmiezek na zaciśniętych ustach. Tamci się nie mylili.

Ojciec wyjął z ust papierosa, niedbałym ruchem rzucił go za siebie, a spoza ekranu odezwał się głos reportera:

– Panie Łańko, słyszałem od brygadzysty, że pan jest przodownikiem pracy. Niech pan nam powie, w jaki sposób osiąga pan tak znakomite rezultaty?

Ojciec uśmiechnął się cierpko, jakby chciał zlekceważyć reportera.

– No cóż – powiedział przekornie – robi się, panie redaktorze... No i brygada jest zgrana. To nie żadna sztuka. Ja już robiłem na wielu budowach. Jak się ma smykałkę, to i robota idzie. – Wyciągnął z kieszeni pudełko papierosów i wyłuskał jednego.

Przy stoliku Bośkiewicz głośno się roześmiał.

– Waldek, jak pragnę... Ale mu dobrze powiedział.

A Kosiak dodał wesoło:

– Nic się chłop nie zmienił. Zawsze miał cięty język i wiedział, jak komu przysolić.

Podszedłem do nich. Czuję się, jak gdybym przed chwilą wyładował na księżycu. W ustach miałem Saharę, a gardło ściśnięte. Wybąkałem jednak z trudem:

– Panowie... panowie znali mojego ojca?

Najpierw popatrzyli na mnie, a potem po sobie, jak gdyby się zakłopotali. Bośkiewicz przecesał dłonią opadające na oczy włosy.

– No jasne – powiedział z namysłem. – Robiłem z nim w narzędziowni, ale niedługo, bo potem poszedł do wojska. – Nagle spojrział na mnie badawczo i trochę dziwnie. – A ty... tyś go poznał?

– Co ty, Kazek – wtrącił Kosiak. – Przecież on był jeszcze w kołysce... – Urwał nagle i zerknął z zakłopotaniem na Bośkiewicza.

Tamten wzruszył ramionami.

– Kopę lat od tego czasu minęło.

– A ja z nim byłem w wojsku – dodał trzeci, barczysty robotnik, którego nie znałem. – Byliśmy w WOP-ie w Zgorzelcu. Twój ojciec był za kierowcę. Wesoly człowiek.

– Wesoly – westchnął ciężko Kazik. – Jak się urwał, to do tej pory nie wrócił.

Bośkiewicz syknął ostrzegawczo.

– Ty, Kazek – pokazał na mnie oczami – przecież to jego chłopiec.

Kosiak machnął ręką.

– On już ma swoje lata. On już wszystko rozumie. – Nagle wstał, położył mi rękę na ramieniu i uśmiechnął się ciepło: – No co, ucieszyłeś się? Starego pokazali w telewizji. Pistolet. Przewodnik pracy. Teraz będziesz mógł się pochwalić, że masz takiego ojca.

A ten trzeci dorzucił:

– I będziesz mógł do niego napisać. Znasz adres.

Nie wiedziałem, czy żartują, czy mówią poważnie. Wciąż czułem się tak, jakbym przed chwilą wylądował na księżycu. Chciałem coś powiedzieć, lecz nie mogłem. Nie potrafiłem nawet odejść, jakby mnie coś trzymało. Musiałem wyglądać strasznie głupio, bo tamci zamilkli i bez słowa zabrali się do niedokończonego piwa. Z tej drętwoty wyrwał mnie dopiero Maniek Giemza. Podeszedł do mnie i, jakby nic się nie stało, klepnął mnie w ramię.

– No, Maciek, pójdziemy do kina.

– Dobrze... – wyszeptalem.

Wyszliśmy z Mańkiem i ze Staszkiem Pierogiem ze świetlicy, ale tuż za drzwiami pożegnałem ich. Powiedziałem ni w pięć, ni w dziesięć, że mnie strasznie głowa boli. Uwierzyli, bo któż nie uwierzyłby w takiej sytuacji. Maniek, mój najlepszy kolega, odprowadził mnie do internatu. Szliśmy długo w milczeniu, wreszcie przed internatem Maniek powiedział:

– Nie cieszysz się, że odnalazłeś starego?

– Nie wiem – mruknąłem, podałem mu rękę i szybko wszedłem do internatu.

2

Przyznam się wam szczerze, że w internacie rozbeczałem się jak małe dziecko. Myślałem o Bonattim, który samotnie zdobywał najtrudniejsze ściany, o Slocumie, który pierwszy samotnie opłynął świat na małej łodzi, ale nic mi nie pomogło. Płakałem i dziwiłem się, skąd tyle łez w oczach się bierze. Poduszka była mokra, a we mnie jakaś czczość. I nie wiedziałem, czy smucić się, czy cieszyć.

Nie należę jednak do takich, co się za długo martwią i mażą. Splunąłem wreszcie ze złością i postanowiłem w jednej chwili, że jutro nawiewam z internatu i jadę do ojca. Jak go zobaczę, zamienię kilka słów, to wtedy będę wiedział, czy się martwić, czy cieszyć. Prysnał stary, ulotnił się, rzucił matkę, ale teraz nie wiadomo, jaki jest i co o tym myśli. Nie pisał przez cały czas i nie posłał nawet grosza, chociaż ciotka starała się o alimenty dla mnie, ale kto to wie, co się przez ten czas z nim działo. Człowiek się przecie zmienia. Może nie chciał pisać, może nie mógł płacić. Stawiałem sobie tysiąc pytań, ale na próżno, na żadne nie mogłem odpowiedzieć. A więc postanowiłem: jadę do Ełku i na miejscu zobaczę, co w trawie piszczy! Nikomu nic nie powiedziałem, bo przy-

puszczałem, że będą mnie odmawiać. Zostawiłem tylko krótki list do mojego wychowawcy i opiekuna, pana Sielickiego. Napisałem, jak było, i że jadę do ojca, przekonać się, czy weźmie mnie do siebie. Napiszę z Ełku kilka słów. Niech się pan Sielicki na mnie nie gniewa, bo nie mogłem zrobić inaczej.

Rano zapakowałem do mojej ulubionej torby najpotrzebniejsze rzeczy, wzięłem kilka moich ulubionych książek i zamiast na plac do roboty, poszedłem na dworzec kolejowy. A teraz byłem już kilka godzin w drodze.

* * *

W pociągu jak w pociągu w porze wakacji i urlopów – tłok, przedziały nabite, dzieci grymaszą, starzy kłócą się, czy otworzyć, czy zamknąć okno, jedni drzemią, drudzy żłopiają lemoniadę i przegryzają kanapkami, a wszyscy nie mogą doczekać się kresu podróży.

Weisnąłem się cudem do jakiegoś przedziału i w kącie pod oknem znalazłem miejsce stojące między drzemiącym rencistą a paniusią w słomkowym kapelusiku. Rencista co chwila budził się z drzemki i przekazywał swej sąsiadce słowny serial z polowania na dziki. Gdyby to była prawda, o czym opowiadał, to już nie byłoby śladu po dzikach w naszych lasach. Paniusia z nicianej torebki wyłuskiwała cukierki i ssała je bladymi, popękkanymi wargami. W przerwach między jednym cukierkiem a drugim narzekała, że wszystko drożeje i nie można związać końca z końcem. I było strasznie nudno, tak nudno, że wyjąłem z torby *Wojnę trojańską* Parandowskiego i stojąc na jednej nodze, zacząłem czytać.

Trafiłem właśnie na opis wyprawy Telemacha do Argos do Nestora. I jakoś mi się lżej zrobiło. Znałem dobrze tę książkę, więc przerzucałem tylko kartki i przypominałem sobie ciekawsze fragmenty.

Wyobraźnia zaczęła pracować. Oto rodzinna wyspa Telemacha – Itaka. Dokoła spienione morze, na morzu kilka białych za-

gli. Na brzegu winnice i gaje oliwne, a wśród gajów dwór Odysa. I młody chłopiec wychodzący codziennie na brzeg morza i wypatrujący statku ojca. Ojciec od dziesięciu lat nie wraca. Wszyscy myślą, że już zginął, że już nigdy jego noga nie stanie na skałach rodzinnej wyspy. Tylko matka i on, Telemach, wierzą, że kiedyś na horyzoncie pojawi się łódź, a potem ujrzą wysmaganą wichrami, spaloną słońcem twarz Odysa i zobaczą go, jak zstępuje z łodzi na przybrzeżne skały...

Ogarnęło mnie wzruszenie. Pomyślałem, że ja, Maciek Łańko, syn Waldemara, podobnie jak Telemach oczekuję ojca. I zagłębiłbym się po uszy w rozmyślania, gdyby nagle nie rozległo się mocne walenie w szybę drzwi przedziału. Obejrzałem się. Za drzwiami, wtłoczony między ludzi, stał niewielki chłopaczek i gwałtownymi ruchami dawał mi znaki, żebym wyszedł do niego.

Wzruszyłem tylko ramionami, bo nie wiedziałem, o co mu chodzi. Był tłok. Żeby precyzyjnie się na korytarz, musiałbym być akrobatą, ale szczeniak nie ustępował i tak się zachowywał, jakbym mu był coś winien. Wrzuciłem więc do torby książkę i zacząłem przedzierać się między poplątanymi nogami. Po chwili byłem już na korytarzu.

– Czego chcesz? – zapytałem wściekły.

Przymrużył tajemniczo oko.

– Ty, koleś, czy konduktor sprawdzał już w tym wagonie bilety?

– Dawno, zaraz za Warszawą. A co?

– Bo ja jadę na gapę. A ty masz bilet?

– Ja? – zdziwił mnie jego protekcyjny ton. – No jasne. Mam nawet cały, bo mi nie chcieli sprzedać zniżkowego.

– To fajnie, bo ja nie mam nawet ćwiartki. Prysnałem z domu – oznajmił takim tonem, jakby chodziło o zmianę rządu w Etiopii.

– Ho... – mruknąłem z uznaniem i przyjrzałem mu się uważniej.

Był to dwunastoletni szczeniak, może nawet młodszy. Loczki kręciły mu się dokoła uszu jak aniołkowi, gębę miał pyzată, nos

zadarty, siekacz z przodu wybity, a oczy jak dwa guziczki, małe, lecz pełne przebiegłości. Jednym słowem komiczna figura. Ubrany był zamożnie i starannie, jakby go przed chwilą wypuścili z dobrego sklepu, i nie wyglądał na uciekiniera. Uśmiechnąłem się więc z politowaniem i dobrodusznie.

– Ty, mały, radzę ci, zapnij sobie guzik pod szyją i wysiadaj na najbliższej stacji, bo cię zgarną i będziesz miał kłopoty.

Szczeniak rzucił mi wzgardliwe spojrzenie.

– Coś taki ważny! Masz bilet, to już nosa zadzierasz.

– Uspokój się, szczeniaku, bo ci przyłożę – ostrzegłem niemal po ojcowsku.

Spokorniał i zamrugał niebieskimi oczkami.

– Co, nie znasz się na żartach? Jak masz bilet, to pokaż.

– Nie widziałeś biletu?

– U ciebie jeszcze nie. No, pokaż, pokaż.

– A co ci przyjdzie z mojego biletu?

– Co? Widzisz, jak jeden z nas ma, to już dużo lepiej.

– Co ty się tak do mnie przyznajesz?

– Bo wyglądasz mi na porządnego cyzia.

– I kto cię nauczył tak mówić? Z respektem, muminku, bo ci uszu natrę.

Znowu uśmiechnął się maślanie i pojednawczo.

– Coś taki ostry? Ja do ciebie jak do kolegi, a ty...

– Bo mi grasz na nerwach i stawiasz się. I w ogóle, co się tak spoufalasz?!

– Myślałem, że dalej pryskamy razem.

– Ja z tobą, muminku? A dokąd ty pryskasz?

– Do Szwecji. Tam wysoka stopa życiowa i można dobrze zarobić. Dolary – dodał poważnie.

Roześmiałem się. Zaczął mnie bawić ten szczeniak. Wzięłem go pod brodę i wyrozumiale pokiwałem głową.

– Będziesz przebierał ryby, oddzielał śledzie od sardynek, co? Naburmuszył się i nagle spojrzał nienawistnie.

– Ty nic nie rozumiesz. Ja naprawdę zwałem z domu. I wcale nie jestem taki mały.

– Naczytałeś się pewno książek i w głowie ci zakwitły rozmaite pomysły. Może chcesz jechać na Wyspy Fidżi albo na Bermudy? To niedaleko, prosto, na prawo, a potem na lewo – żartowałem.

Splnął z obrzydzeniem.

– Z tobą nie ma zabawy.

– Nie ma, zgadłeś. Ty zwiewasz z domu, a ja chętnie zwałbym do domu – wtrąciłem, choć wiedziałem, że tego teraz nie pojmie.

Zerknął bokiem jak obrażone dziecko.

– Jesteś kolega czy nie?

– Nie.

– A ja myślałem, że pojedziemy razem. Masz przecież cały bilet. Powiemy, że jesteśmy bracia i razem jedziemy do babci na wakacje.

– Dobra, dobra, tylko że każdy musi mieć swój bilet, kapujesz?

Nie kapował albo nie chciał, bo nagle sięgnął do wielkiego plecaka i z wierzchu wyjął coś zawiniętego w tłusty papier.

– Zjesz ze mną kurę? Mówię ci, pierwszorzędną. Rąbnąłem mamie z lodówki.

– Schowaj sobie na Szwecję – mruknąłem bez przekonania, bo w tej samej chwili poczułem piekielny głód. Od rana nic nie jadłem, a kura wyglądała smakowicie.

– Do Szwecji to zaśmierdnie i będę musiał wyrzucić. Lepiej, żebyś ty zjadł ze mną.

– Do Szwecji jeszcze daleko. Przyda ci się w drodze.

Łypnął podejrzliwie. Był wyraźnie niezadowolony, że nie chwyciła łapówka. Gapił się chwilę na udko, potem z apetytem wbił zęby w złościście przypieczone mięso, aż mu sok popłynął po brodzie. A mnie po prostu skręcało. Przymknąłem oczy, by nie patrzeć na tę ucztę i miałem takie uczucie, jak gdybym trawił kamienie. Ssało mnie okrutnie w dołku. Szczeniak to wyczuł, uśmiechnął się chytrze, przymrużył guzikowate oczy i palnął:

– Jeszcze nigdy nie jadłem tak fantastycznej kury. Pycha do kwadratu.

– Smacznego – rzuciłem z bolesnym przekąsem.

– A drugie udko będzie jeszcze lepsze. – Podsunął mi pod sam nos kawał mięsiwa. Zapachniało mi rajsco i w pewnej chwili pożałowałem, że odmówiłem. Szczeniak tymczasem przeżuwał dokładnie i systematycznie, jakby chciał mnie drażnić, i co chwila cmokał z rozkoszy. Nagle zagadnął pełnymi jadła ustami: – A tobie jak na imię?

– Maciek.

– Mnie Krzysiek, ale w klasie nazywają mnie Romeo.

– Romeo! – zaśmiałem się. – Nie wyglądasz mi na Romea.

– Wiem, ale tak mnie nazwała Ewa, bo kiedyś na basenie powiedziałem, że dla niej popełnię każde szaleństwo, nawet skoczę z dziesięciometrowej wieży do wody, kapujesz?

– Tak. I co, skoczyłeś?

– Coś ty, z dziesięciu metrów? Nie ma głupich. Powiedziałem jej, bo w basenie nie było wody.

– Chytrus z ciebie. Przemądrzalec. Romeo...

– Fajne przezwisko, co? – Zabierał się właśnie do soczystej i przyrumienionej piersi.

W brzuchu zaburczało mi złowieszczo. Czuję, że soki trawienne domagają się paliwa. Przełknąłem ślinę, ale nic nie pomogło. Miałem takie uczucie, jak gdybym od dziesięciu dni żywił się trawą i korzonkami. A szczeniak wciął z wzrastającym apetytem.

– No to cześć – powiedziałem ni stąd, ni zowąd, a może właśnie zowąd, bo już nie mogłem znieść tej męczarni.

Zatrzymał mnie gwałtownym ruchem.

– Coś ty, przecież tak się klawo rozmawia. – A potem łypnął po swoim i podpuścił mnie przekornie: – Może byś jednak zjadł? Zawsze przyjemniej jeść we dwóch.

Załamalem się.

– No... jeśli ci tak bardzo na tym zależy, to daj kawałek. – Powiedziałem to wbrew woli i ambicji i nigdy bym sobie na to nie pozwolił, gdybym wiedział, jak drogo będę musiał za ten kawałek kury zapłacić.

Romeo oderwał kawał mięsiwa, podał mi wspaniałomyślnie.

– A jak będziesz głodny – dodał – to mam jeszcze kawał placka z jagodami i słoik truskawkowego dżemu. Jak się ucieka z domu, to trzeba się dobrze zaopatrzyć.

Muszę przyznać, że zblatował mnie podstępnie i teraz już mi nie wypadało traktować go z góry. Kura była wspaniała i podziała łągodząco na moje rozdrażnienie. Zerknąłem już przyjaźniej.

– Ty, stary, powiedz prawdę, dlaczego zwałeś z domu?

– He, he... – zaśmiał się szatańsko. – Ty nie znasz mojego starego. To wszystko przez cybernetykę.

– Cybernetykę?

– No, a jak myślisz? Bo mój kochany tatuś jest zupełnie cybernetyczny. Dostał po prostu fioła. I cały dom jest cybernetyczny.

– Mów jaśniej, bo nic z tego nie rozumiem.

– Byłeś kiedyś niewolnikiem?

– Nie.

– A ja jestem. Rano, kapujesz, ojciec wyciąga mnie o wpół do siódmej z łóżka, bo musimy cybernetycznie przebiec całą ścieżkę zdrowia. Nie wolno opuścić żadnego ćwiczenia, żeby cybernetycznie się dotlenić. Kapujesz?

– Nic w tym nie widzę dziwnego. To zdrowo.

– Zdrowo!... – zaśmiał się. – A potem jeszcze zdrowiej wtrać owsiankę albo płatki kukurydziane. Na samą myśl o tym mdli mnie i zbiera mi się na wymioty. Bo fater obliczył cybernetycznie, że owsianka najzdrowsza i daje tyle a tyle kalorii. Fajne, co? I jeszcze jedno, fater obliczył sobie na podstawie testu, że mam zdolności matematyczne. Chce ze mnie zrobić cybernetyka, kapujesz. Ze mnie... A ja chciałbym być poetą albo cyrkowcem. I jak można wytrzymać w takim domu? Myjemy się cybernetycz-

nie, cybernetycznie oglądamy telewizję i cybernetycznie siusiamy... Wytrzymałbyś? I do tego jestem jedynakiem. Gdybym miał siostrę albo brata, toby się ta cybernetyka jakoś na nas rozłożyła. A tak... – Westchnął niemal tragicznie i przełknął ostatni kęs kury.

Żał mi się szczeniaka zrobiło. Nieco przychylniej na niego spojrziałem, chociaż, szczerze mówiąc, nie byłem pewny, czy mówi prawdę, czy fantazjuje. Chytrus wyczuł moją słabość i podstępnie zagadnął:

– No, jak będzie z tym biletem?

– Z jakim biletem? – udałem zaskoczenie.

– No jakim? Twoim. Mówię ci, to się da załatwić. Jak przyjdzie konduktor, to mu powiesz, że jedziemy razem na jeden bilet normalny, bo w kasie nie było dwóch biletów ulgowych, kapujesz?

– Ten numer nie przejdzie – powiedziałem z namysłem. Ale wiedziałem, że po tej kurze i po jego spowiedzi nie wypada mi już odmówić.

– Możemy spróbować.

– Głupio mi będzie tłumaczyć. Nie lubię takich kantów.

– To ja to już załatwię. Ja jestem młodszy, kapujesz, i mnie prędzej uwierzą. A jak nie uwierzą, to i tak będziesz miał bilet. No co, zgoda?

– Możemy spróbować – powiedziałem, nie wiedząc, że palnąłem jeden z największych byków w swym życiu.

Romeo uśmiechnął się rozkosznie i wyciągnął z plecaka ciasto z jagodami. Chciał w ten sposób do końca mnie zblatować.

– Od razu wiedziałem, że jesteś fajny kolega. – A po chwili dodał optymistycznie: – Ja mam, bracie, nosa i w ogóle zdaje mi się, że konduktor nie przyjdzie. Za duży tłok. – Trącił mnie protekcyjnie w bok i zapytał: – No co, stary, sypniemy się do Szwecji?

Zamiast do Szwecji zajechałem ho, ho... bo, jak na złość, w tej samej chwili w drzwiach korytarza zjawił się kontroler. Właściwie nie zjawił się, tylko wyrósł spod ziemi, jak to w książkach pięknie określają. Wyrósł, a my nie mieliśmy już czasu zastanowić się nad tym. Romeo trącił mnie jeszcze mocniej, spojrzał konspiracyjnie i szepnął:

– No, dawaj, na co czekasz, ja to załatwię.

Nie wiem, czy zupełnie zgłupiałem, czy ten muminek mnie zahipnotyzował, dość że wyjąłem z kieszeni bilet i dałem mu prosto w łapę. Temu oczka zaiskrzyły się, a kiedy podszedł kontroler, nie patrząc na mnie, podał mu bilet. Trąciłem go w bok z podwójną siłą. Syknąłem:

– No, mów, co miałeś mówić.

Romeo nie drgnął nawet, jakbym przemawiał do niego z innej planety albo był niewidzialny. Kontroler przeciął mu bilet, a jego badawcze spojrzenie spoczęło na mnie. Gorąco mi się zrobiło, ale chwilowo nie traciłem jeszcze równowagi, tylko strzeliłem jeszcze jedno głupstwo.

– Proszę pana, to nasz wspólny bilet – bąknąłem.

– Zaraz, zaraz. Co ty, kawalerze, wygadujesz? Jak to wspólny?...

– No, bo... – brnąłem dalej – my jesteśmy bracia, a na dworcu w Warszawie kasjerka nie miała dwóch oddzielnych biletów zniżkowych, więc sprzedała nam jeden cały. – W tym momencie chwyciłem Romea za koszulę i przyciągnąłem do siebie. – No mów, bo zrobię z ciebie marmoladę.

Romeo spojrzał tak niewinnie na kontrolera, jakby to był jego dobry wujaszek lub ktoś w tym rodzaju, i palnął bezczelnie:

– Proszę pana, to wcale nie mój brat. Ja go w ogóle nie znam.

Wtedy mi dopiero krew uderzyła do głowy, wszystko we mnie zakipiało i poniosły mnie nerwy. Przyciągnąłem szczeniaka do siebie, skrzyłem mu na piersi koszulę, aż szwy trzasnęły.

– Ty nędzny gnojku! – wrzasnąłem. – Myślisz, że zrobisz ze mnie kosmicznego balona! Mylisz się! – Niestety, to ja się myliłem, bo szczeniak ani miauknął, tylko zrobił zdziwioną gębę i spojrział na konduktora.

– No, widzi pan, nie ma biletu i jeszcze się szarpie.

Wtedy dopiero zrozumiałem, że dałem się wystrychnąć na najnędzniejszego dudka i dudkiem do końca życia zostanę. I to przez kogo? Przez nędzną kreaturę, przez tego przebiegłego konusa. Gdybym mógł, tobym się ze wstydu zapadł pod ziemię, ale chwilowo staliśmy na twardym gruncie wagonu, a kontroler spoza okularów świdrował mnie zimnymi oczami.

– No, kawalerze, masz bilet czy nie masz biletu, bo nie mam czasu.

Chwyciłem się ostatniej deski ratunku, opanowałem gniew, zrobiłem normalną gębę i powiedziałem, siłąc się na spokój:

– Proszę pana, to naprawdę mój bilet. Jak pan nie wierzy, to proszę spytać tych państwa w przedziale. Oni jadą ze mną od samej Warszawy, a ten... – skinąłem głową w stronę Romea – ten przybłęda zjawił się dopiero na poprzedniej stacji.

Kontroler zerknął podejrzliwie.

– Nic mnie to nie obchodzi. Każdy pasażer musi mieć gotowy do okazania bilet. Masz bilet, kawalerze?

Jak to bywa w takich przypadkach, ręce mi opadły. Byłem bezsilny i bezbronny. Chciałem się jeszcze tłumaczyć, lecz nagle ze zdumieniem spostrzegłem, że obok mnie nie ma dowodu rzeczowego, czyli Romea. Rozpłynął się w powietrzu albo wróżka zamieniła go w krasnala i włożyła kontrolerowi do kieszeni. Rzuciłem się w kierunku wyjścia z wagonu, lecz mocna dłoń kontrolera osadziła mnie w miejscu. Teraz byłem zupełnie ugotowany. Pociąg zwalniał, kołysał się na rozjazdach. W dali zamajaczyły budynki stacji kolejowej. Romeo rozpłynął się, ja znalazłem się na dnie rozpacz i gniewu, a kontroler wciąż żądał ode mnie biletu.

Pokiwał nade mną z politowaniem głową:

– Czy ci nie wstyd? Czy to tak ładnie jeździć na gapę i narażać się? Chciałem się bronić, ale nagle wstąpił we mnie duch przekory. Pomyślałem: Bądź mężczyzną i nie daj się poniżyć.

– Nie mam biletu – powiedziałem twardo i stanowczo. – I niech pan robi ze mną, co do pana należy.

* * *

Zatrzymaliśmy się na stacji, której wprawdzie nie znałem, lecz nie zapomnę jej do końca życia. I było mi strasznie głupio, bo wszyscy gapili się na mnie. Myśleli, że jestem chuliganem albo jeszcze gorzej. Po moim oświadczeniu kontroler spojrzął na mnie z łaskawą wyrozumiałością, wziął pod ramię, wyprowadził na peron.

– Nie martw się. Teraz wakacje i wielu takich łowców przygód włóczy się po kolejach. Na posterunku SOK-u spiszą protokół i odeślą cię do domu.

Chciałem zaprotestować, że wcale nie jestem łowcą przygód ani gapowiczem, ale postanowiłem nie poniżać się, zacisnąłem więc wargi aż do bólu i szedłem z podniesioną głową. Nagle złapało mnie coś za gardło. Wielki żal. Zdawało mi się, że ojciec czeka na mnie w Elku, a ja tymczasem będę musiał spowiadać się na dworcu i tłumaczyć przed nie wiadomo kim. I gniew mnie ogarnął, bo pomyślałem, że tym razem wpadłem niesprawiedliwie, a niesprawiedliwość zawsze najbardziej boli. Gdybym teraz dostał w ręce tego muminka Romea, to z zimną krwią rozszarpałbym go na drobne kawałki albo posiekał tępym nożem.

Taka mnie złość chwyciła i taki żal, że zdecydowałem nawiewać. Wnet nadarzyła się okazja, bo właśnie dwie siostrzyczki zakonne, rumiane jak różane pączki, w czyściutkich kornetach, z oczkami jak niezapominajki, zahaczyły nagle kontrolera i zaczęły go wypytywać, jak dostać się do Gołdapi. Niech mnie drzwi ścisną, z nieba spadły te siostrzyczki. Kontroler rozluźnił uchwyt na moim ramieniu, a ja włączyłem od razu czwórkę, dodałem gazu